

Niewidzialni heroldowie.

— Nie wierzę w te białutki — rzekł profesor Pintrel — rozgniatając zdecydowanym ruchem palca papieros w popielniczkę — i... nie pozwalam w swojej obecności na takie... dziecięce praktyki. Aniu, zostaw ten stolik, proszę cię; mój sceptycyzm nie da mu wirować.

Młode dziewczę przywykłe słuchać z pogodną twarzą rozkazów ojca odeszło od stolika i usiadło przy mnie.

Pintrel — wielki Pintrel, jak nazywaliśmy go my, młodzi chirurdzy, których czarował śmiałością swą, zimną krwią i pewnością ręki — wierzył w wiedzę swą i w siebie jedynie.

— Nie zaprzeczysz jednak, mój mistrzu — odezwał się Picard — że...

Ania zwróciła ku mnie duże szafiry swych oczu. Nie słyszałem więc końca zdania. Urywane słowa tylko, bez związku dochodziły mych uszu: „Z za światów... fluid... telepatja... tajemniczość...“ Wpatrzony byłem w Anię, która słuchała ze skupionym wyrazem twarzy.

Kiedy wszakże na dany znak przez matkę wyszła z pokoju, zdolność uważnego słuchania wróciła mi natychmiast.

Danveau mówił właśnie:

— Było to w 1918 r. Mieszkaliśmy wówczas na prowincji. Mój brat Henryk, lekko ranny został ewakuowany z frontu paryskiego do szpitala C. B. Mieliliśmy wszakże uspokajające wieści od niego samego po południu i byliśmy weseli niemal przy obiedzie. Nagle — odrzuciwszy książkę, którą czytałem, zacząłem niespokojnie chodzić wzdłuż i wszerz pokoju, a po chwili wrażenie zagrażającego niebezpieczeństwa było tak silne, że z okrzykiem „Henryku!“ opadłem na stół, łkając.

Nazajutrz ojciec wszedł do mnie z twarzą wylekła, trzymając w ręku gazetę z wydrukowaną dużymi czcionkami wzmianką:

„Wczoraj wieczorem, o godzinie 8-ej szpital C. B. był bombardowany. Torpeda zdruzgotała kilka pawilonów. Lekarz pomocniczy zabity. Dużo rannych...“

W godzinę potem list nieznanym piegiem zawiadamiał nas, że brat mój, niebezpiecznie ranny odłamkiem pocisku w szyję, został ewakuowany do kliniki F...

— Mieszkaliśmy wówczas w Rouen — zabrał głos Durene, który z niecierpliwością oczekiwał kolei zaabsorbowania uwagi ogólnej. — Jeden z przygodnych towarzyszy zaprosił nas na obiad, poczem udaliśmy się na partję bilardu. Wróciłem do siebie o godzinie 2-iej w nocy. Tam, raptem, sam nie wiem dlaczego, zacząłem myśleć o moim ojcu. Widzę siebie dzieckiem, zapomniane szczegóły przychodzą mi na pamięć. Łzy napływają do oczu... kłę-

kam i odmawiam pacierz za ojca mego...! Zasypiam nad ranem dopiero. O godzinie 9-iej przynoszą mi depeszę, z której dowiaduję się, że ojciec umarł magle w nocy o godzinie 3-iej...

— Byłem w owej epoce — przerwał długie milczenie Hugon de Norsant — młodym bardzo doktorem w Perpignan... Lubiełem to miasto o krętych ulicach; jego palacy wiatr hiszpański, północny wichler, jego marokańskie wschody słońca, jak szkarłat czerwone, kiedy wiatr hulał w powietrzu. Szedłem podziwiać je ze wzgórzka w pobliżu cytadeli, gdzie flamandzka dzwonnica kościoła Sw. Jakóba odcina się swymi różowymi ceglami na tle afrykańskiego nieba. Pewnego bardzo wietrznego dnia, wracając właśnie z przedmieścia Świętego Marcina, ujrzałem przed sobą mężczyznę, chwiejącego się na nogach. Upadł niebawem na ziemię — na skutek silniejszego poddmuchu wiatru, jak sądziłem narazie. Towarzysząca mu kobieta krzyknęła. Zbliżywszy, przekonałem się, że mężczyzna dostał ataku anginy piersiowej. Kazałem go przenieść do jego domu. Był szewcem z zawodu i mieszkał przy swym sklepiku, znajdującym się na uboczu.

Miałem na szczęście kilka ampulek „nitrite d'amyle“ przy sobie, których zawartość dałem do powachania choremu, oplakivanemu już jako nieboszczyka przez rodziców.



nę. W ciągu kilku sekund przyszedł do siebie. Zrobiono ze mnie cudotwórcę. Musiałem uciec, dosłownie, przed wylewem objawów ich wdzięczności.

Biedni ci ludzie powzięli istny kult dla mnie. Szewc czułby się być najszczęśliwszym, gdybym mógł dniem i nocą znajdować się przy nim.

— Doktorze — mawiał nieraz — kiedy będę potrzebował twojej pomocy zadzwonię trzykrotnie raz po raz do twoich drzwi. Niech pan doktor zapamięta sobie (i naśladował dzwonienie). Będiesz wiedział, panie doktorze, że to ja cię wzywam i otworzysz mi poprzedzej.

Miał drugi atak w niedalekim odstępie czasu, poczem... minęły miesiące, rok, dwa lata nawet — podczas których nie widywałem go wcale, tak dalece, że zapomniałem o jego istnieniu.

Pewnego wieczora udałem się na spacer po wyjątkowo uciążliwym dniu i zapadłem w głęboki sen natychmiast. Nazajutrz wydało mi się, że słyszę dzwonek u

moich drzwi. Zapaliłem światło, nasłuchiwałem. Milczenie.

„Śniło mi się“ — pomyślałem i już miałem zgasić elektryczność, kiedy bardzo wyraźnie tym razem usłyszałem w ciszy trzykrotne dzwonienie. Zawałem się, byłem bowiem niezwykle znużony. Dzwonek jednak powtórzył się, krótki, szybki, trzykrotny, rozkazujący. Zerwałem się na równe nogi z łóżka i narzucając szlafrok poszedłem otworzyć drzwi, podczas gdy dzwonek po raz trzeci wzywał mnie natęrczywie. Nikogo nie było!

Przypuszczając jakiś żart, wróciłem do swego pokoju. Za ledwie jednak zamknąłem drzwi, energiczny, trzykrotny dzwonek rozległ się ponownie. W niespełna dwie sekundy byłem znów przy schodach. Nikogo! Zaintrygowany mocno przeczekalem chwil kilka, poczem wobec martwej ciszy wokoło udałem się z powrotem do siebie, położyłem się do łóżka i spojrzawszy machinalnie na zegarek, który wskazywał godzinę drugą, zasnąłem wnet snem kamieniem.

Nazajutrz, przejeżdżając przez przedmieście Świętego Marcina, przyszło mi na myśl odwiedzić mego „cudownie uleczonego“, jak się sam nazywał. Zastałem dom jego w żalobie. Żona płacząc, zdała mi sprawę z ostatnich jego chwil:

— Nie miał czasu słowa wyrzec, tak go chwyciło. Umarł nagle o godzinie drugiej z rana.

* * *

Ania wróciła. Wyglądała, jakgdyby miała na sobie wszystkie kwiaty ogrodu i jakgdyby sukienka jej była utkana z ich lekuchnych płatków. Wpatrywałem się w dziewczę olśniony! Straciłem znów zdolność słuchania, na skutek czego nie dowiedziałem się nigdy, co wielki Pintrel myślał o opowieści doktora.

Ale dlaczego, skoro goście rozeszli się, pozostałem sam w cichej i pustej alei? Jaki niewidzialny herold zatrzymał mnie jak w zaczarowanym kole w ogrodzie pani mego serca? Stałem tam oczekując... na co? Wsłuchiwałem się w podmuch wiatru i w ciszę milezemia, wzruszony, pożądaną pełen...

Nagle ujrzałem jasną postać, skradającą się w cieniu i nieśmiały, uszczęśliwiony głos pytał szeptem sfilumionym:

— Po co pan wołał mnie...? Przyszła!... Widzi pan?...

Bez tajemniczego przewodnika, który wiodł nas owego wieczora za ręce ku naszej ananice, nie byłbym się nigdy ośmielił wyznać córce wielkiego Pintrela, że ja kocham — i nie zaznałbym szczęścia na ziemi. Dziś, kiedy sceptycy z uśmiechem lekceważenia przeczą wszystkiemu, czego wytłumaczyć nie są w stanie, Ania zwraca ku mnie swoje lazurowe, tkliwe, lekko drwiące oczy i ja czuję się zdolnym wierzyć wszystkiemu, absurdowi nawet!

Tłum. Jotsaw.



Kult pieśni polskiej.



Jedno z najstarszych stowarzyszeń śpiewaczych Łodzi, ze zrozumieniem krzewiących kult pieśni polskiej, Towarzystwo „Lutnia“ uczciło podniosłe akt poświęcenia mowego sztandaru w kościele św. Stanisława Kostki. Towarzystwo to, stojące na wysokim poziomie sztuki śpiewaczej, święcić będzie w roku 1930-ym czterdziestoltni jubileusz swego istnienia i rozwoju. Na czele „Lutni“ od szeregu lat stoją pp.: prezes Antoni Michałowski, wiceprezes dyr. Oskar Szefer oraz dyr. Eugeniusz Kukulak. Generalnym dyrygentem „Lutni“ jest p. Aleksander Charuba. Powyżej widzimy poważną grupę członków Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia“ z prezesem p. A. Michałowskim na czele. Fot. Meyer.

TEATRALJA.

„Opera za trzy grosze“. — Teatr Stanisławski w Warszawie. — Zapolska w Wiedniu. — Drobiazgi teatralne.

Dawno już nie czytaliśmy w krytyce stołecznej tyle sprzecznych a ostrych sądów, jak z okazji wystawienia w Teatrze Polskim rokokowej parodji angielskiego pisarza Johna Gay'a (A. D. 1728) p. t. „Opera za trzy grosze“ („The Beggars Opera“). Zabawne to w oryginalnym dziełku, przedstawiające karykaturę widowiska operowego w ujęciu świata złodziei i żebraków londyńskiego przedmieścia Soho, adoptowane zostało i uwspółcześnione przez młodego pisarza niemieckiego Brechta, a z ogromnym nakładem pracy reżysera Schillera zaprezentowane obecnie w Warszawie. Po przejściu przez dwie pary rąk Brechta i Schillera, „Opera za trzy grosze“ nabrała specyficznego, a niezbyt sympatycznego posmaku. Z angielskiej, dowcipnie ironicznej, choć dobroduszej w istocie parodji, spreparowano widowisko quasi - proletariackie, jaskrawe i brutalne, o dydaktycznej rzekomo tendencji, wymierzone ad hoc ukutem ostrzem jakgdyby przeciwko światu „burżujów“, biegunowo przeciwległemu bohaterom śpiewno - muzycznej sztuki. Wodewilową walkę pomiędzy królem złodziei, a królem żebraków, z których pierwszy uwodzi córkę drugiemu i — uwalnia się od stryczka jedynie dzięki wrażliwości przedstawicieli policji angielskiej na t zw. łapówki, zwięksowano całkiem chyba niepotrzebnie na tory socjologicznych problemów i kontrastów, co podkreśliła szczególnie reżyserja p. Schillera, obiektywnie biorąc — bardzo zresztą sumienna, konsekwentna i oryginalna.

Ostatecznie — całe to mixtum compositum, na którego widok przewróciłby się zapewne w grobie mr. John Gay, wywołało przeważnie ocenę bardzo krytyczną, niekiedy nawet wręcz nieprzyjazną. Doszło nawet do tego, że opiekunowa cenzura spenetrowała powtórnie tekst sztuki i poleciła usunąć zeń pewne jaskrawości. Z szerszego punktu widzenia należy mieć oczywiście poważnie zastrzeżenia, co do potrzeby i celowości ingerencji urzędników administracyjnych w sprawę teatru i sztuki wogóle — trudno jednak nie przyznać, że wystawienie „Opery za trzy grosze“ w edycji warszawskiej jest pomysłem niepotrzebnym i — chybionym, nie posiadającym na swe poparcie żadnych poważniejszych argumentów. Szkoda bodaj pracy p. Schillera i talentów takich aktorów, jak Modzelewska, Samborski, Maszyński i inni, by wystawiać jakąś archaiczną szopkę w postaci zupełnie przeznaczonej i wymaturzonej.

Z artystycznego punktu widzenia daleko większą doniosłość posiadają rozpoczęte już w Warszawie występy praskiej grupy słynnego teatru Stanisławskiego. Inauguracyjne przedstawienie starej, ale jarej jeszcze komedji Ostrowskiego „Bieda nie hańbi“ — dało od razu poznać wysokie walory gości rosyjskich, którzy w myśl naczelnych założeń swego znakomitego nauczyciela i

przewodnika celują zwłaszcza w grze zespołowej, w wydobywaniu wspólnym, świadczonym wysiłkiem całej tkwiącej w odważanej sztuce charakterystycznej prawdy i wszystkich myśli przewodnich. Ten moment doskonałości gry zespołowej, tak naderbywany częstokroć w najlepszych nawet teatrach, wybita się w sztuce zespołu rosyjskiego na plan pierwszy, a dążeniem do scharmonizowania i wykończenia całości podporządkowywać się muszą, o ile to tylko możliwe, indywidualne cechy i skłonności aktorów. Pierwsze przedstawienie, świadczące tak dodatnio o talentach każdego z nich oddzielnie i wszystkich wziętych razem, wywarło jak najlepsze, głębokie wrażenie. Przedstawienia następne, m. in. „Żywy Trup“ Tołstoja, umocniły to wrażenie, sprawiając żywą satysfakcję wszystkim miłośnikom dobrego i prawdziwego teatru, nie wchodzącego w konkluzje ani z klimatem, ani z music-hallem, ani z... nieograniczoną swobodą wyczynów reżyserskich.

Miła wiadomość dochodzi nas z Wiednia. Oto słowacki Teatr Nar., występujący tam gościnnie, wystawił z dużym powodzeniem świetną komedję Zapolskiej — „Moralność pani Dulskiej“. Tytułową rolę grała bez zarzutu artystka praska, p. Huebnerowa, której występy w Teatrze Polskim w Warszawie cieszyły się w roku ubiegłym tak zasłużonymi sukcesami.

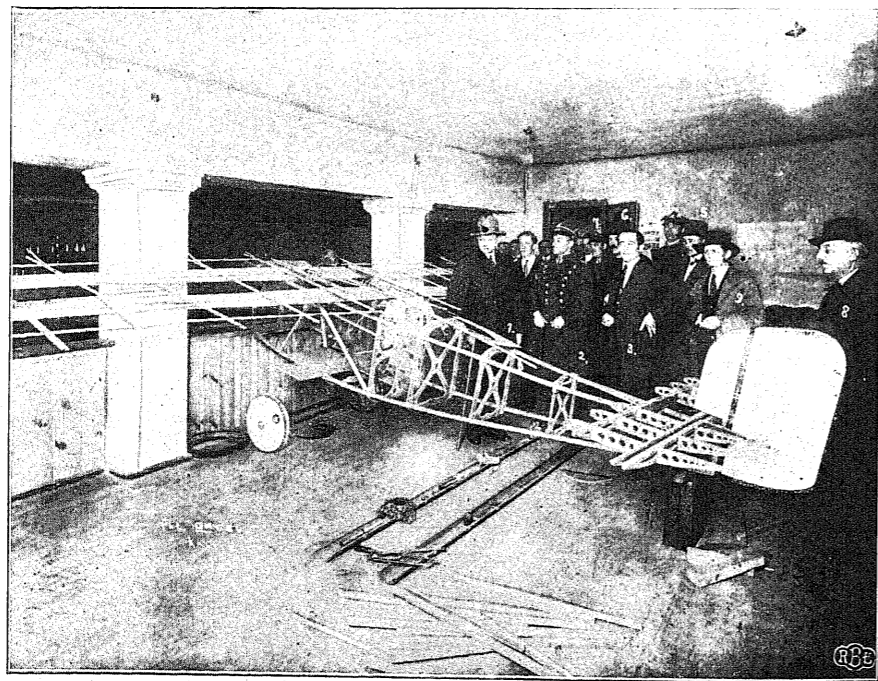
Teatr Polski w Poznaniu zapowiada wkrótce wystawienie nowej komedji Adama Grzymały - Siedleckiego p. t. „Mama wychodzi zamąż“. Sztuka dzieje się współcześnie, akcja zaś toczy się częściowo w miejskim, częściowo w wiejskim środo-

wisku. O tej mowalijce komedjowej idą z kultu bardzo pochlebne szeptki. Zobaczymy.

Popularny w całym świecie b. premier francuski Edward Herriot, posiadający nieprzeciętny talent literacki, napisał ostatnio sztukę pod intrygującym tytułem: „Gdyby Napoleon uciekł z wyspy św. Heleny...“ Pomysł zasadniczy sztuki polega na przypuszczeniu, że Napoleon I nie umarł na wyspie św. Heleny, lecz pozostawił tam swojego sobowtóra, a sam uciekł łodzią rybacką do Ameryki, gdzie przekonał się rychło o znikomości i nietrwałości najpotężniejszej choćby władzy, o bezsensie dążenia do niej za wszelką cenę i wszelkimi środkami. Ta, napoły fantastyczna sztuka zawiera sporo trafnych obserwacji z zakresu spraw politycznych i społecznych i, z całą pewnością, budzić będzie wielkie zacielkawienie. Ze zrozumiałych względów Herriot nie zezwolił na wystawienie swego zmartwychpowstającego „Napoleona“ na żadnej ze scen francuskich. Prawdopodobnie sztuka ta ukaże się niezadługo w jednym z teatrów berlińskich.

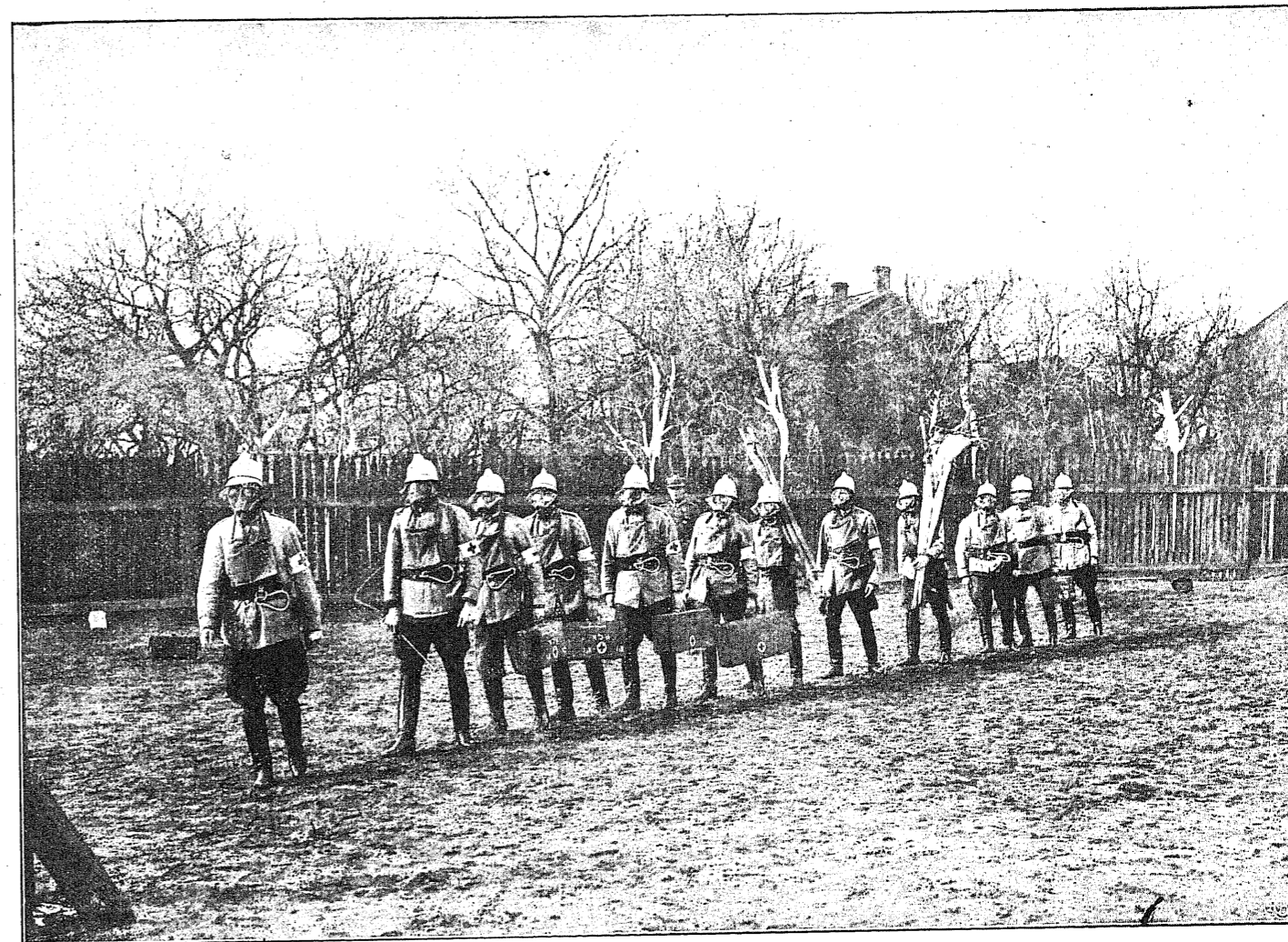
Miejski teatr operowy w Augsburgu zaangażował p. Gertrudę Hrdliczkę, Czeszkę z pochodzenia, na stanowisko kapelmistrza opery. P. Hrdliczka znana była dotychczas jako świetna skrzypaczka. Engagemnt jej nie ma bodaj precedensów, dotychczas bowiem powierzano kobietom co najwyżej stanowiska dyrygentek teatrów operkowych. Do nich należała w swoim czasie w Warszawie popularna Amda Kiltschmannówna.

Delta.

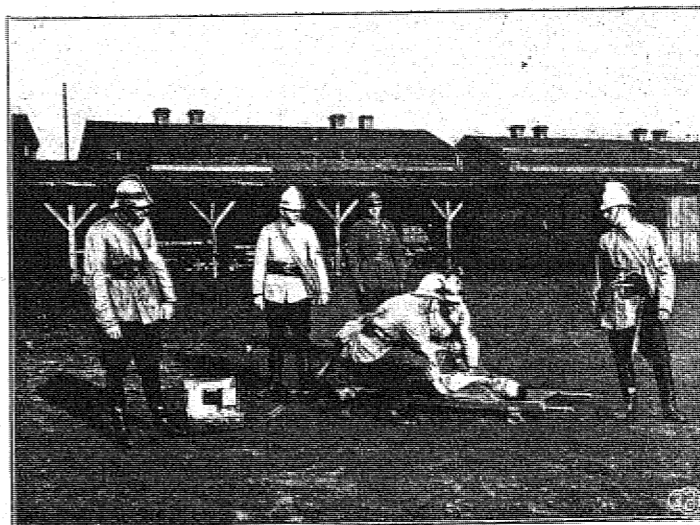


Z okazji walnego zgromadzenia Ligi Obrony Powietrznej Państwa w Kaliszu zebrali członkowie zwiedzili pracownię konstruktora p. Józefa Grzmilasa, budującego awionetkę własnego pomysłu na P. W. K. w Poznaniu. Powyżej widzimy awionetkę oraz zgromadzonych członków L. O. P. P. w lokalu konstruktora Grzmilasa.

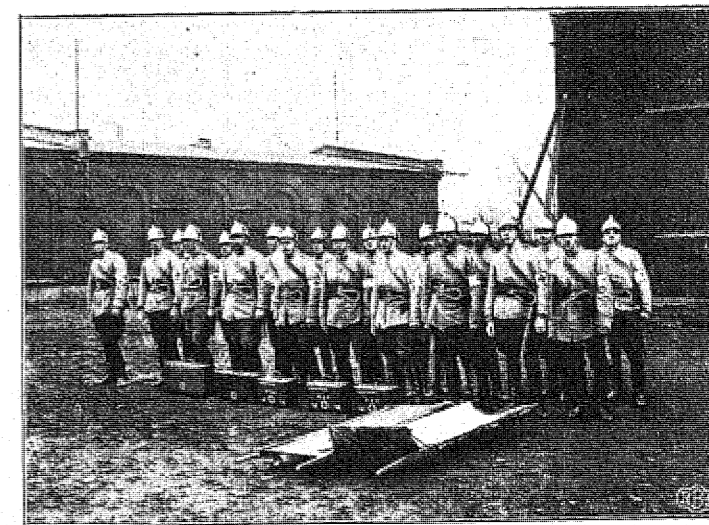
Kurs instruktorski straży pożarnych w Łodzi.



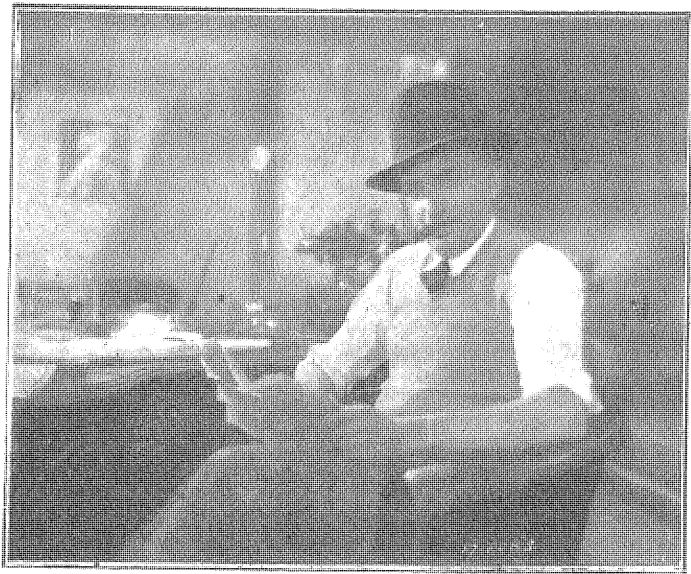
W dniu 15 maja r. b. zakończony został efektywnym pokazem kurs instruktorski straży pożarnych w Łodzi, obejmujący dziedzinę pożarnictwa, ratownictwa i obrony przeciwgazowej. Uczestnikami kursu byli członkowie straży pożarnych z terytorium całej Rzeczypospolitej nie wyłączając Śląska. Prócz ćwiczeń i wykładów instruktorzy odbywali praktykę pożarniczą przez pełnienie dyżurów nocnych w I, II i IV oddziałach straży ogniowej w Łodzi. Powyżej widzimy grupę uczestników kursu zaopatrzonych w aparat sanitarno - ratowniczy i maski przeciwgazowe.



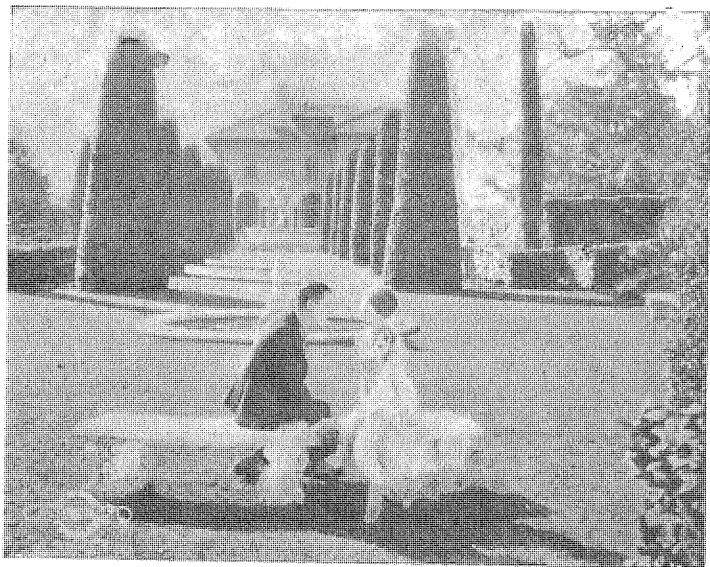
Ćwiczenia pokazowe instruktorów pożarniczych i przeciwgazowych na dziedzińcu jednej z łódzkiej straży ogniowych. Powyżej ciekawy moment stosowania zabiegu sztucznego oddychania.



Grupa kursistów z aparatem ratowniczym i sanitarnym przed wyruszeniem na ćwiczenia.



Reżyser E. A. Dupont, genialny realizator filmu „Świat Nocy“.



Mała idylla — Betty Compson i Kenneth Harlan w filmie p. n. „W siódmym grzechu“.



Ułubiona artystka komedjowa, Laura La Plante, jako kandydatka do rozwodu.



Paulina Starke, odniosła wielki sukces w filmie „Niewolnicy życia“.



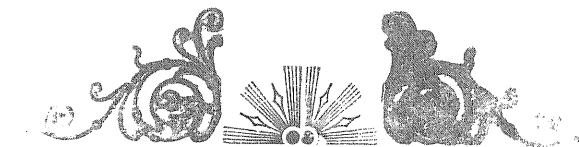
Najnowszy film „Universalu“ p. n. „Rywalki“ z Marion Nixon i Ryszardem Wallingem.



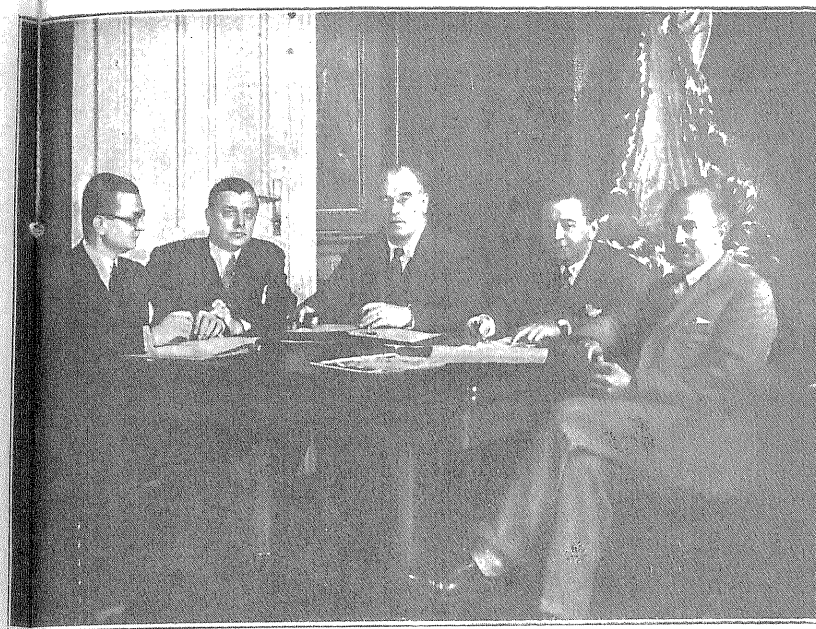
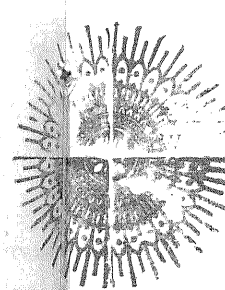
Emil Jannings wykończył swój nowy film amerykański p. n. „Grzechy ojców“.



Claire Windsor, amerykańska artystka filmowa w obrazie „Wieczny trójkąt“.



Kusicielka ekranu, Greta Garbo, którą podziwialiśmy w bieżącym sezonie w filmach „Anna Karenina“, „Boska kobieta“ i „Żar miłości“, stworzyła nową kreację w obrazie „Kobieta interesu“.



Ty największe wytwórnie europejskie połączyły się we wspólnym koncercie. Na zdjęciu fragment konferencji potentatów filmowych. Siedzą: John Maxwell, V. Hurbich, A. Hubrich oraz dyr. Goldschmidt.

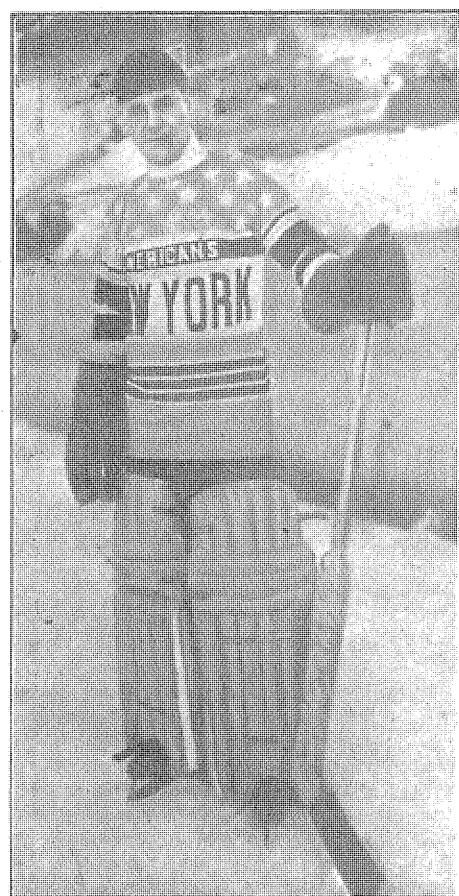


Sally O'Neil, partnerka Ramona Novarro w filmie „Lewiatan młody człowiek“.

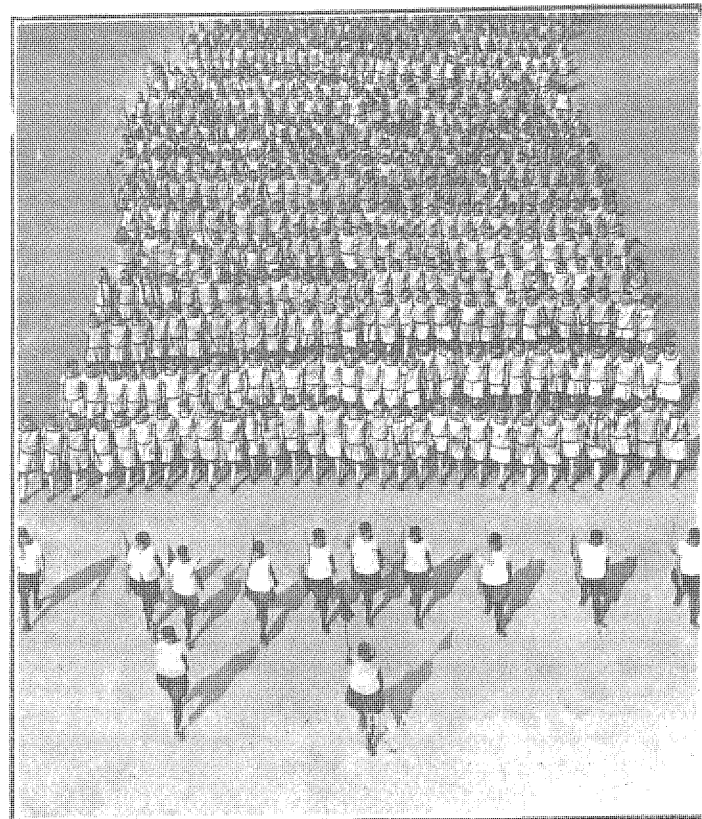


Lucy Dornaine, ulubiona gwiazda w filmach „Skandal małżeński“ oraz „Tragedja w Alpach“.





Zmarły przed niedawnym czasem manager sportów Tex Rickard.



Idea wychowania sportowego wśród młodzieży nieomal w całym świecie znajduje szerokie pole rozwoju. Służy jej i propaguje ją młodzież z zamiłowaniem w swych organizacjach sportowo-wychowawczych. W ostatnich latach rozwinęło się silnie harcerstwo jugosłowiańskie, stojące na straży wychowania fizycznego. Powyżej ćwiczenia gimnastyczne harcererek jugosłowiańskich.



W. Kuchar, środkowy pomocnik i napastnik „Pogoni” w karykaturze.



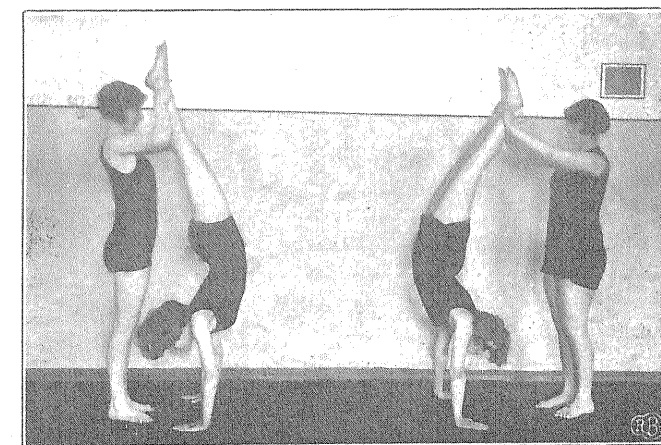
Najlepszy kobiecy zespół gimnastyczny Ośrodka W. F. w Łodzi z por. Kuźnickim na czelnie. Fot. Meyer.



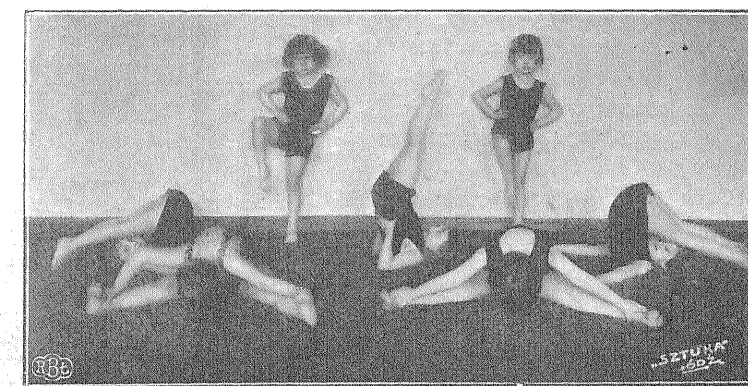
Artystka filmowa, Bert Roach z zapalem uprawia sporty, a szczególnie brawurowo gra w tenisa. Powyżej widzimy tę artystkę na jednym z kortów tenisowych w Ameryce.



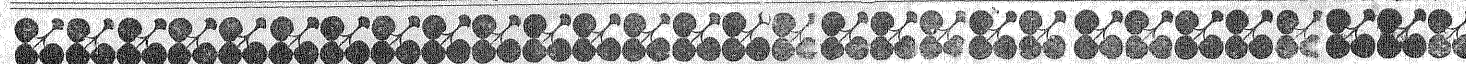
Akt wieczystego pokoju lokatorów z właścicielem posesji przy ul. Zielonej 26, na przedmieściu Bałuty. Wspólna zabawa, mająca być wyrazem zgody i przyjaźni lokatorów z gospodarzem



Szkoła Rytmiki, Plastyki i Tańca Artystycznego H. Krukowskiej i L. Boruńskiej w Łodzi urządziła w dniu 30 maja r. b. w Teatrze Miejskim popis swych uczenic. Na zdjęciu powyższem widzimy obraz, będący wyrazem techniki akrobatycznej.



Moment z ćwiczeń technicznych dzieci w Szkole Rytmiki i Plastyki H. Krukowskiej i L. Boruńskiej w Łodzi.



ALIBI.

— Proszę pani! Jakis pan...

— Czego chce? Jesteśmy przy śniadaniu. Czy powiedział małżowi?

— Ech! — mruknął pan Jeremi Pichard, zając paszteciki francuskie — pewnie urzędnik z gazowni... z rachunkiem...

— Tyle już razy mówiłam ci, Anno — rzekła pani Pichard, zwracając się do pokojówki, ażebyś żądała nazwiska lub biletu od osób, których nie znasz.

— Ależ, proszę pani! Nie dał mi czasu na to! Wszedł jak do siebie z dwoma posterunkowymi w dodatku.

— Co? Z dwoma... posterunkowymi? Państwo Pichard spojrzeli z przerażeniem na siebie.

— Przypomnij sobie, Jeremi — odezwała się wreszcie pani Pichard do męża — czy nie miałeś jakiegoś wypadku... zająścia...?

— Jakiego zająścia...? Z kim...? Czego chcesz ode mnie?...

— Nie byłeś świadkiem czasami kłótni na ulicy, najechania...?

— Nic podobnego. Omylili się.

— Oczywiście, mylą się, Anno, jesteś pewna, że ten pan pytał o pana Jeremiego Pichard?

— Tak, proszę pani. Jestem tego pewna!

W tejże chwili, drzwi od jadalnego pokoju otwierają się i komisarz policji z dwoma agentami wchodzi. Anna cofnęła się przeczornie do kuchni.

— Państwo darują — zaczął komisarz, zbliżając się — lecz jestem, na skutek mego urzędu, obowiązany do załatwienia pewnych formalności. Panie? Pan jest Izydorem-Jeremim Pichard we własnej osobie?

— Istotnie! Ale...

— Jedno tylko pytanie: gdzie pan był wczoraj, we wtorek, między drugą a czwartą godziną po południu?

Jeremi Pichard drgnął.

— O... o drugiej?... Wczoraj?... Ależ! ja... — jąkał się.

Poczem, opanowawszy się, dodał:

— Co znaczy ta indagacja, proszę pani?

— Odkładź to — pośpieszyła pani Pichard mężowi z pomocą, mówiąc głosem ostrym — wolno przychodzić kontrolować, gdzie spędzają czas uczeni ludzie?

— Proszę pani — odpowiada komisarz grzecznie — przedłożyłem już państwu z jakiego tytułu tu jestem. Przyszedłem zmuszony obowiązkami mego zawodu. Pański mąż może odpowiedzieć na moje pytanie, lub nie. To jego rzecz. W interesie pani męża jednakże, i dla uniknięcia poważnych nieprzyjemności, radzę mu usilnie, nie od-

powiadać wymijająco na postawione przede mną pytanie.

— Ha! Trudna rada! Odpowiadaj, Jeremi! — westchnęła pani Pichard — wczoraj, o godzinie drugiej byłeś przy ulicy Verneuil, liczba 78, u maszyn przyjaciół Gerbaud. Pamiętałeś? Połknąłeś, śpiesząc się, kawę, ażeby...

— Prawda! Rzeczywiście!... Tak! Pa... pamiętam! Byłem u... Genbaud, mego przyjaciela Gerbaud.

— Dobrze, proszę pana! — rzekł komisarz, uderzony zakłopotaniem i rosnącym podnieceniem pana Pichard. — Skontrolujemy pańskie zeznanie.

— Słowo daję — zawołała pani Pichard, składając swoje przysadziste ręce na okazywanie tonie — tego tylko brakuje, ażeby podawano w wątpliwość nasze słowa! Omyłka ta, w każdym bądź razie, będzie drogo autorów kosztować. Nie wolno w ten sposób, z lekkim sumieniem, rzucać hańbiące podejrzenie wobec sąsiadów, służby i oddzielnym na uczciwych ludzi, których życie było bez skazy. Talk, panie. Śmiało to mówię: przez dwadzieścia pięć lat prowadziliśmy handel guzikami i gumalastyką przy ulicy Rambuteau, gdzie wszyscy odczuli nas szacunkiem. Nigdy nie mieliśmy do czynienia z trybunałem, my, panie! Nigdy! I nagle, ni stąd ni zowąd, bez żadnego powodu, przychodzą badać nas, niczem złooczyńców. Dlaczego nie jak morderców w takim razie?...



— Przepraszam panią — odpowiada komisarz zimno, z oczami utkwionymi w Jeremiego Picharda, który bez krwi w twarzy, rozgniewał drżącym palcem kroplę potu, występującą mu raz po raz na czole. — Ani przez chwilę nie podaję w wątpliwość słów pani. Muszę tylko zwrócić uwagę pani mężowi...

— Panie komisarzu — przerywa mu nagle Jeremi Pichard, suggestjonowany inkwizytorskim wzrokiem wyższego urzędnika — to, co powiedziałem przed chwilą... nie jest prawdą.

— Co?... — woła pani Pichard, podskakując na krześle.

— Wczoraj o godzinie drugiej po południu byłem w Saint-Cloud.

— Dobrze! — szepnął komisarz z czołowym zagięciem kącików ust.

— W Saint-Cloud? — powtórzyła pani

Pichard, rzucając się ku swemu mężowi. — Po coś był w Saint-Cloud? Coś tam robił? Nie mamy tam znajomych! Dlaczego powiedziałeś mi, że idziesz do Gerbaud. W jakim celu skłamałeś? Prędko! Mów! Wy tłumacz się!

Nieszczęśliwy Pichard, oszołomiony gradem tych pytań, osunął się na krześle z twarzą w drgawkach.

— Zatrzymał się pan w hotelu „Cheval de bois“, nieprawdaż? — pytał komisarz, który robił zapiski.

— Zdaje mi się... — przyznał niewyraźnie Pichard.

— Miał pan pokój liczba 18, na drugim piętrze?

— Może być...

— Nędzniku! — ryknęła pani Pichard, drżąc z oburzenia. — Rozumiem teraz... Ufałam ci, jak dziecku. Liczyłam, że pan dobrodziej jest u przyjaciół, podczas gdy on waleśał się po Saint-Cloud! Ach! Ach! Jestem pewna, że intryżka ta ciągnie się od dawna. Ale prawda, jak oliwa, zawsze wyjdzie na wierzch. Mamy dowód! Ach! Ach!

— Jest to, proszę pani — odezwał się komisarz — przykry zbieg okoliczności, a który zbiegł się z faktem w innym rodzaju poważnym. Wahania, fałszywe zeznanie zachowanie się nawet pana Pichard, upoważniają mnie, miłosty, do wszelkich podejrzeń. Oto, o co chodzi: wczoraj, we wtorek, około godziny czwartej po południu, pod łóżkiem numeru 18, znaleziony został trup tylko co zamordowanego mężczyzny.

— Pod... pod łóżkiem? — bełkotał Jeremi z oczyma z orbit wysadzonymi. — Znajdował się... trup... pod... pod łóżkiem?.. Czy być może?..

— Mój mąż?... Mordercą?... Rany Chrystusa!...

I pani Pichard, wzniosłszy swe krótkie ramiona do góry, zemdlała z przerażenia.

W pięć minut potem pan Jeremi Pichard, bledy, chwytając się na nogach, zmierzony do niepoznania, opuszczał swoje mieszkanie, eskortowany przez komisarza i dwóch jego agentów.

Dowiedziano się nazajutrz, że ofiarą w Saint-Cloud był kasjer, który się zastrzelił. W przedśmiertnych konwulsjach, ciało jego stoczyło się między ścianą i łóżko.

W pokoju, tonącym w półcieniu, pan Izidor-Jeremi Pichard i jego przygodna przyjaciółka, nie mogli domyśleć się, że Eros sąsiadował tak blisko ze śmiercią!

Jeremi Pichard mógł łatwo dowieść swej niewinności; nie wykroczył się jednak od trybunału.

W kilka miesięcy później bowiem stanął przed sądem dla wysłuchania wyroku o rozwodzie na korzyść pani Elodji Pichard, pozostawiającej.

Hum. Jotsaw.

— :o: —



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 2 czerwca 1929 roku.

Nr. 22.

Plon pracy polskiej w Poznaniu.



W dniu 16 maja 1929 roku otwarta została w Poznaniu, w obecności przedstawicieli najwyższych władz Rzeczypospolitej z p. Prezydentem prof. Ignacym Mościckim na czele, Powszechna Wystawa Krajowa, będąca żywym wyrazem pracy polskiej i wielką rewją dorobku gospodarczego Polski w okresie jej dziesięcioletniego niepodległego istnienia. Obok ekspozycji najważniejszych gałęzi przemysłu krajowego, wśród pawilónów ilustrowanych swą cenną zawartością wytwórczość wszelkich dziedzin życia zajęła niepoślednie miejsce również przyniesiona Łódź. Powyżej widzimy stoisko „Kurjera Łódzkiego“ i „Echa“, które jedynie reprezentują codzienną prasę łódzką na Powszechnej Wystawie Krajowej. Fot. A. Mayer.